

Swoista sprawiedliwość

To, że piszę ten tekst jest wynikiem kolejnej lektury *Promieniowań*, dzienników z czasów II wojny światowej Ernsta Jüngera, którego cenię (i jako pisarza, i jako człowieka). A konkretyzując jeszcze bardziej przyczynę: wzmianek o skutkach nalotów alianckich na niemieckie miasta. Owe zapiski są cytatami z usłyszanych przez Jüngera relacji, jak też z otrzymanych listów. Nie brakuje również opisów tego, co sam widział.

„Krause, który w czasie nalotu i krótko po nim był w Hamburgu, mówi, że widział tam ze dwadzieścia zwęglonych ciał, przechylonych jedno przy drugim, jak na ruszcie, przez barierę mostu. Tam uciekający, obłani fosforem, chcieli rzucić się do wody, ale przedtem spłonęli!” [11 sierpnia 1943 r.].

„Po południu w Hanowerze, który ujrzałem zamieniony w stertę gruzu. Miejsca, w których mieszkałem jako dziecko, jako uczeń, jako młody oficer, były zrównane z ziemią. Długo stałem przed domem przy Krausenstrasse, gdzie przez dwadzieścia lat mieszkała babcia, a ja niezliczone razy dotrzymywałem jej towarzystwa. Pozostało z niego trochę ceglanych murów, a ja zabudowywałem je z pamięci kuchnią, małym pokojem gościnnym, salonem i przytulną bawialnią, w której oknach babcia hodowała kwiaty. Dziesiątki tysięcy takich mieszkań ze swoją aurą minionego życia zostało zniszczonych w jedną noc niczym gniazda zmiecione na ziemię przez wichurę” [27 listopada 1943 r.].

„Z dużym opóźnieniem przejeżdżaliśmy przez miasta objęte alarmem lotniczym, w tym przez Kolonię, gdzie akurat bomba spadła na rzeźnię, rozrywając sześćdziesiąt osób” [4/5 marca 1944 r.].

„Po południu w Akwizgranie, a potem przez Kolonię wzdłuż szeregu wypalonych zachodniemieckich miast. To straszne, jak prędko człowiek przywyka do tego widoku” [3 kwietnia 1944 r.].

Niekiedy Jünger wyraża swe wątpliwości co do podawanych liczb ofiar.

Faktem jest jednak, że w nocy z 27 na 28 lipca 1943 r. 729 bombowców brytyjskich zrzuciło na wschodnie, gęsto zamieszkane dzielnice Hamburga ok. 2326 ton bomb burzących i zapalających. W wyniku tego nalotu zginęło około 40 tysięcy ludzi. Co istotne, większość spośród nich śmierć poniosła w schronach przeciwlotniczych. Były to bowiem ofiary zacinania bądź uduszenia – szalejące w mieście burze ogniowe zużyły tlen w miejscach przez siebie opanowanych. Tej nocy w Hamburgu zniszczonych zostało około 16 tysięcy budynków mieszkalnych, w większości wielopiętrowych.

Tak, doskonale pamiętam, kto zaczął bombardować ludność cywilną polskich miast; następnie ludność miejską kolejnych państw alianckich. Ale jeżeli potępiało się działania Luftwaffe, czy należało iść w jej ślady. I wielokrotnie przebić ją w sianiu śmierci i zniszczeń? Tym samym, tak, jak i Niemcy, łamiąc wcześniejsze zobowiązania, co do ograniczania śmiertelności „żniw”. Chodziło, jakoby, o złamanie

ducha walki narodu niemieckiego. Czy go złamano? Biorąc pod uwagę ogrom środków zaangażowanych w niszczenie miast III Rzeszy i zabicie ich mieszkańców, pamiętając o tym, że odbywało się to przez przeszło cztery lata, jak też biorąc pod uwagę ich efekt w postaci 300-400 tysięcy zabitych, unicestwione, co czwarte mieszkanie, ogromne zniszczenia jeśli chodzi o zakłady przemysłowe, budynki użyteczności publicznej, infrastrukturę kolejową, mosty itd., należałoby stwierdzić, że duch ten został jedynie nadwątlony. Choć często słychać pogląd, że owe naloty umacniały w narodzie niemieckim wolę oporu (podobny mechanizm dał o sobie znać w przypadku mieszkańców Londynu; najpierw niszczonego bombami lotniczymi, a potem rakietami V-1 i V-2).

Z jednej strony widzę w tym przejaw barbarzyństwa (nie przestając pamiętać o barbarzyństwie niemieckim). Podeptano bowiem – i uczyniły to narody głoszące wszem i wobec, że walczy z siłami Zła – jedną z bardzo istotnych zasad prowadzenia wojen: że prowadzą ją wojownicy z wojownikami. Cywile są z niej, najzwyczajniej w świecie, wyłączeni; są nietykalni. Rzecz jasna tak mówiła teoria. Natomiast praktyka – jak to miało (i ma) miejsce nie tylko w tym przypadku – bardzo często nie pokrywała się z nią. Ale jakby tego nie oceniać, wiadano, gdzie w takich sytuacjach jest zło, a gdzie dobro. Pomiędzy 1939 a 1945 r. ta wiedza została pominięta (miała powrócić do łask w lepszych czasach, ale z całą pewnością nie powróciła). W rezultacie czego, sfera nietykalna została zepchnięta do głębokiego podziemia. Przede wszystkim z tego względu, że stanowiła przeszkodę w prowadzeniu wojny totalnej, czyli wojny bez ograniczeń, w tym bez zasad. Taka właśnie wojna miała doprowadzić do jak najszybszego pokonania Niemiec, uosobienia Zła (przymknięto oczy na to, że drugie wcielenie Zła, i to gorsze od tego pierwszego, było jednym z aliantów). Tłumaczono to m. in. chęcią uniemożliwienia władcom III Rzeszy wejścia w posiadanie jakiejś potężnej broni.

Alte jest i druga strona: wyspecjalizowana w walce/w zabijaniu grupa społeczna (niejednokrotnie tożsama ze szlachtą) w II połowie XIX w. zaczęła odchodzić w przeszłość, zastępowana coraz powszechniej przez niespecjalistów (przez partaczy w odróżnieniu od rzemieślników – jeśli użyć terminologii dotyczącej średniowiecznych wytwórców). Wyniknęło to z rozwoju ekonomicznego. A to między innymi pozwoliło na umasowienie armii: coraz większe masy można było uzbroić, umundurować, obuć, nakarmić, wyszkolić. Nałożył się na to także postępujący w świecie zachodnim parlamentarizm/demokratyzm – najczęściej wymuszony. W jego wyniku coraz większe rzesze mężczyzn zaczęły uzyskiwać prawa obywatelskie. Zyskali prawa, ale i przybyło im obowiązków – w tym ten dotyczący obrony ojczyzny. Może właśnie po to uzyskali prawa obywatelskie, aby można było, gdy zajdzie potrzeba, powoływać ich pod broń, motywując to, choćby, wspólnotą celów. Bo to oni, a nie kobiety, zwyczajowo byli wojownikami, później żołnierzami.

Andrzej Leder odnośnie procesu uobywatelnienia Europejczyków (zwłaszcza ich), i mając na myśli przede wszystkim bitwę pod Verdun w czasie I wojny światowej, napisał tak:

„Myślę, że potrzebna była jako zemsta, zemsta arystokracji wojennej, korpusu oficerskiego na ludzie zapędzonym w okopy. Zemsta za stulecie emancypacji” [„Presse”, IV-V 2016].

A tylko podczas tej jednej bitwy – fakt, że trwającej dziesięć miesięcy – życie straciło około 700 tysięcy żołnierzy, średnio około 2300 dziennie (i to na drobnym fragmencie frontu zachodniego, który na dodatek był tylko jednym z frontów).

W czasie trwania pierwszej wojny światowej, którą nazwano – jeśli z przesadą, to niewielką – pierwszą próbą samobójczą ludzkości, ginęli prawie wyłącznie żołnierze, to znaczy mężczyźni. Cywile stanowili jedynie niewielki odsetek ogółu zabitych.

Odwołanie się do próby samobójstwa w przypadku drugiej wojny światowej, jest jeszcze bardziej właściwe: ze względu na niespotykaną dotąd liczbę ofiar (zarówno pośród i żołnierzy, i cywili) i skalę zniszczeń. Pojawiło się także pewne *novum* – nikt już nie mógł umywać rąk (z wyłączeniem oczywiście dzieci). Dobrze jest to widoczne na przykładzie tych, które miały udział w wybuchu tej wojny, czyli Niemek. One również zostały ukarane (bombardowania były rodzajem kary). Z tym, że nie wszystkie, nazbyt wiele ich było.

Republika weimarska uczyniła kobiety pełnoprawnymi obywatelkami w 1919 roku. Zyskały więc prawo do podejmowania najważniejszych decyzji. I z prawa tego skorzystały. To w znacznym stopniu ich głosami Adolf Hitler objął władzę w styczniu 1933 roku. A obiecywał swym rodakom i rodaczkom, o czym należy pamiętać, także krew i pot. To dlatego Niemcy, którzy mieli szczęście przeżyć jako żołnierze I wojny światowej, nie tak chętnie oddali swój głos na autora *Mein Kampf*. Oni wiedzieli, co zapowiadają jego słowa. Kobiety zaś myślały, że gdy wybuchnie kolejna wojna, będzie tak, jak było w latach 1914-1918. To znaczy, że będą bezpieczne w domach (z dziećmi) za frontami; a w okopach zajmą miejsce ich mężowie, ojcowie, synowie, bracia. One zaś – jak germańskie Brunhildy – w swych wojownikach będą podtrzymywały ducha walki. Stało się jednak inaczej – przestał istnieć klasyczny podział: strefa walki i tyły. A na dodatek pojawiła się też współodpowiedzialność za to, do czego się przyczyniło. Choć ta może nie do końca, gdyż odium spadło wyłącznie na mężczyzn (drobnym wyjątkiem były esesmanki nadzorujące oddziały kobiece w obozach koncentracyjnych). A na filmach dokumentalnych z epoki, widać mnóstwo wiwatujących i wyglądających na szczęśliwe kobiet, które rzucają kwiaty pod koła limuzyny, którą przejeżdża wódz III Rzeszy mającej być tysiącletnią. Ta nadzwyczaj liczna obecność kobiet w tych, i podobnych sytuacjach, bardzo rzadko jest komentowana (temat tabu? / przejaw poprawności politycznej?). A trzeba było stale nosić różowe okulary, aby w poczynaniach przywódców hitlerowskich nie dostrzegać zapowiedzi wojny. W rezultacie czego, nie skończyło się na obietnicach; część spośród nich została nawet spełniona.

Dariusz Pawlicki